

Bruno Kadyna

## Martwe maciejki

Dziewczyny szykowały się do wyjścia. Nic im raczej nie groziło, najwyżej którąś by zgwałcili. Chodziło o to, żeby niczego nie widziały.

Kowboj Wiechu puścił oczko do najładniejszej. Czasami umiłał sobie czas jej towarzystwem.

Wyszedł na zewnątrz. Zaciągnął się głęboko zapachem maciejek. Rosły na dole wokoło werandy. Cały ogród był pełen kwiatów.

Cisza. Zachodzące słońce złościło domy i las z lewej, a woń stała się silniejsza. Wiatr głąskał korony drzew. Kowboj często zatrzymywał się w lesie, kiedy jeździł konno, żeby posłuchać szelestu liści. Kojący dźwięk, szczególnie o zachodzie słońca.

Oparł „pompkę” o balustradę, żeby była na wyciągnięcie ręki. Poprawił flanelową koszulę i usiadł na krześle, a nogi w wytartych kowbojkach z ostrogami położył na poręczu. Zsunął niżej kapelusz i wyciągnął z kieszeni papierośnicę, a z niej skręconego wcześniej szluga, chwycił go wysuszonymi ustami. Potarł o obcas zapalną.

Pałił i mrużył oczy, ich poryta bruzdami oprawa zdradzała wiek. Oprócz palenia prowadził zdrowy tryb życia, ćwiczył regularnie i czuł się jak pięćdziesięciolatek. Ale był już tak stary, że nie przejmował się żadnymi problemami.

Bił od niego spokój, a nie powinien. Dawno temu zastanawiał się, co z nim nie tak, że ma takie zatwardziałe serce, jakby urodził się z martwym. W swoim mniemaniu całe życie postępował dobrze. Nie próżnował, rozkręcał każdy biznes jaki się dało. Inaczej niż większość kolegów ze starych czasów, którzy żyli jak królowie nie liczący się z pieniędzmi i leżeli od dawna w piachu, odsiadali dożywocia albo klepali biedę, bo gangsterskich lat nie dolicza się do emerytury.

Pomimo wielu kobiet, rodziny, znajomych, od których stronił, był sam z tym, co nosił w środku. Z bliskimi nie czuł żadnej więzi, zaspokajał tylko ich fizyczne potrzeby, by nigdy niczego im nie brakowało, ale nie potrafił się otworzyć, nikomu zaufać. Okazywać jakichkolwiek uczuć.

Nie sądził, żeby kiedykolwiek popełnił jakiś błąd. Swoje odsiedział, bo nikt nie miał takiego farta, żeby robić to co on i nie zahaczyć o pudło. To wliczone w koszty.

Dlaczego więc nie czuł sytości, tylko jakąś czarną otchłań w środku? Miał wrażenie, że wypływała z niej gęsta smoła, a on nią nasiąkał.

Nie wierzył, że chodziło o to, co robił. To kropla w morzu w porównaniu z tym, co

robią politycy. Absolutnie nie czuł się winny.

Zostawił sobie na starość kilka udziałów, inwestycji i interesów. Między innymi kameralny burdel o nazwie Saloon, na werandzie którego właśnie siedział. Trzymał ten „bałagan”, bo miał westernowy klimat, który wtarł się przez dekady w lokal i stał tak naturalny, że dziewiętnastowieczny poganiacz bydła z prerii poczułby się w środku jak w domu. Nawet dziewczyny ubierały się jak dziwki z epoki, nosiły suknie i gorsety.

Najważniejsze jednak, że ten interes, ze względu na swój półlegalny charakter, trzymał przy kowboju jego młodość.

I dzikość.

Więc skąd ta czerń? Może to śmierć nadchodziła?

Mrrau. – Przyszedł brunatny kocur, patrzył jednym okiem.

– Cześć, Zmurszały.

Kowboj poklepał się po udzie i staruszek wskoczył na niego.

– Będziesz się musiał schować.

Głaskał go po grzbiecie, a ten mrucał nisko i wdzięcznie. Kiedy się tu przybłąkał, był zupełnie dziki i prawie nie miał futra od jakiejś gównianej choroby. Wiechu podrzucał mu jedzenie, w końcu oswoił i jednooki śmietnikowiec zyskał dobrą emeryturę.

– Zrobimy ci dietę, spasz się jak prosiak – powiedział Wiechu, przytrzymał go i wstał.

Nie wiedział, ile czasu zostało. Ufny Zmurszak mógłby dostać zawału ze strachu, pewnie za późno zaczęłby uciekać.

Kowboj zazdrościł zwierzętom tej ufności do kogoś, kogo pokochały.

– Przyfarcilo ci się dzisiaj.

Otworzył drzwi i wpuścił go do klubu.

– O, Zmszały! – Barmanka Patrycja zawsze przekręcała jego imię.

– Wiesiu, na pewno ci nie pomagają? – zapytał znowu bramkarz.

– Nie.

Dziewczyny były gotowe, wychodziły gęsiego, miały już dziś wolne. Na końcu wyszli Patrycja i bramkarz.

– Nie zamykajcie furtki – powiedział właściciel.

To, co miało się wydarzyć, chciał załatwić sam. To jego ktoś nie szanował „na mieście”, szczał na ugruntowaną pozycję. Dla niego to gówniarzeria. Jeszcze srali w pieluchy, kiedy on ostrzeliwał się z policją i trząśł miastem. Szczeniactwo dorosło, zarobili parę groszy na narkotykach i zachciało się rządzić. To normalne, gdy ktoś zdobywał pozycję, szczególnie jeśli był kretyńcem.

Zdarzało się i będzie zdarzać.

I za każdym razem, z pełną surowością, trzeba pokazać, że nie wolno zadzierać ze

starą gwardią i łamać zasad.

– Frajery – mruknął.

Kiedyś wydzwoniłby na pomoc kilku chłopaków, bo z tym Sratata, Rafafa, Tratata czy jak tam nazywają tego gnojka, przyjedzie cała banda.

Zsunął kapelusz na czoło.

Tym razem pokaże sam, ile warte było ich męstwo. Zaprosił na rozmowę kogucika, który miał czelność zaproponować mu odkupienie Saloonu. Propozycja oznaczała próbę przejścia ważnego interesu w półświatku, usunięcie pozycji Wiecha.

Wiadomo też, co oznaczało zaproszenie kowboja na rozmowę.

Chciał zapalić drugiego papierosa, ale usłyszał silniki samochodów. Zbliżali się szybko.

– Śpieszą się, frajery.

Trzy auta podjechały pod klub, niczym policja na obławę. Chciał im ułatwić sprawę, dlatego furtka była otwarta na oścież.

Obserwował las, czy nikt się nie zbliżał od tej strony. Pochylił się i wziął opartego o balustradę Mavericka załadowanego śrutem. Myślał, czy załadować breneką, ale od frontu nie było dużo miejsca. Z lewej, od furtki do wejścia, biegł kamienny mur, dość wąsko między nim a chałupą. Lepiej siać śrutem.

Trzaskały samochodowe drzwi.

Na werandę prowadziło kilkanaście stopni. Widać było stąd dobrze, co działo się na ulicy.

Dziesięciu, jeśli wysiedli wszyscy.

Kowboj stał na szczycie schodów.

– Wiesiu, jestem – powiedział wesoło przybysz wchodząc na posesję.

Ubrany na jasno, na szyi chusta arafatka, jego znak rozpoznawczy. Wyglądał jak podróżnik.

Czterech jego kamratów uzbrojonych w bejsbole i pręty weszło za nim, poszli za róg domu, którego nie można było obejść dokoła.

Wiechu ruszył w dół. Ostrogi pobrzękiwały na każdym stopniu. Oczy prawie niewidoczne spod kapelusza.

– Czas nauczyć się szacunku, Sratata.

Młody chciał odpysknąć, ale zobaczył strzelbę, którą kowboj chował przy nodze i właśnie unosił.

Pękła jak bańka mydlana pewność siebie oparta na broni z tyłu za paskiem i na towarzyszach. Nie brał pod uwagę, że nie będzie czasu sięgnąć po pistolet. Był pewien, że stary wystraszy się przedstawienia.

– Obsrany Sratata – powiedział Wiechu i wypalił.

Z kilku metrów nie musiał tym mierzyć, wystarczyło skierować lufę.

Garść śrutu utkwiała w ciele Arafata. Upadał z wyrazem zdziwienia na twarzy.

Biała koszula błyskawicznie nasiąkała czerwienią.

Wiechu przeładował. Trzymał pompkę na wysokości bioder i obserwował, czy watażka jest w stanie wyciągnąć pistolet.

Młody szef mógł się tylko dziwić, że umierał.

– Tak, Sratata, to koniec.

Zapadła cisza, tylko samozwaniec rzeził, a pobrzękujące kroki kowboja wlewały przerażenie w serca tych, którzy pochowali się po kiblach i za samochodami. Wystrzał i te diabelsko spokojne kroki przypomniały im wszystko, co słyszeli o Kowboju Wiechu, co wyśmiała ich głupia młodość, a herszt właśnie potwierdzał cichnącym charczeniem.

Kowboj wyszedł łukiem za róg. Zobaczył dwóch durni. Przeskoczyli przez płot i spieprzali ulicą. Dwóch pozostałych musiało się schować.

Wiechu patrzył na plastikowy kontener na śmieci.

– Gangsterzy – powiedział i wypalił w kontener.

– Aaa! Aaa! Aaa! – Ktoś ze środka zaczął przeraźliwie wrzeszczeć.

Kowboj podszedł sprawdzić za śmietnik.

– Znoś po męsku – powiedział do tego w środku, ale patrzył na cymbała za kontenerem.

Umięśniony chłop, skulony jak dziecko, chował głowę między kolanami i płakał. Strach odebrał mu władzę nad ciałem.

– Aaa! Aaa! Aaa! – darł się ten z kibla. Dostał w podbrzusze i w jaja.

Kowboj wypalił w kontener, blisko skulonego mężczyzny, którym zaczęło telepać po wystrzale.

Ten ze śmietnika już nie krzyczał.

– Zeszczalo ci się. – Wiechu się uśmiechnął. – Idź stąd i zajmij się czymś innym. Ogrodnictwem albo ochroną zwierząt.

Ogłuszony typ nie słyszał.

Kowboj ruszył na ulicę. Za samochodami nikogo już nie było, ci pouciekali pierwsi, zostawili kluczyki w stacyjkach. Każda fura warta ponad sto tysięcy.

Potem każe odebrać cały majątek Arafata.

Wrócił na posesję. Wciąż słyszał łkanie gówniarza za śmietnikiem.

– Spieprzaj, bo się rozmyślę.

Łkanie ucichło. Gangster gamoń wyszedł zza kontenera pokracznie zgięty, zasmarkany, zasikany i nie tylko, marzył o bliskich, że się w nich wtula, że są wszystkim. Świadomość, że mógł więcej ich nie zobaczyć, wywołała nieznaną dotąd tęsknotę.

– Ty się zesrałeś? – zdziwił się Wiechu.

Chciał mu posiać z daleka śrutem po łydkach, żeby ugruntować niechęć do gangsterki, ale już nie trzeba było.

Wiechu usiadł z powrotem na krześle i uzupełnił wystrzelone naboje.

Dwa trupy wystarczyły na kilka lat jako ostrzeżenie. Może już na zawsze, biorąc pod uwagę wiek kowboja.

Palił spokojnie w ciemności i czekał na policję. Dym snuł się spod kapelusza do gwiazd. Tutaj, na uboczu miasta, przy lesie, widać ich było całkiem sporo.

Nie czuł, że maciejki przestały pachnąć.

Adrenalina pulsowała nieśpiesznie w żyłach. Kiedy przyjadą psy, będzie tak samo spokojny jak teraz.

Nie panował tylko nad tą smołą, która właśnie chlustała z otchłani w nim jak z kipiącego gara i wywoływała dziwną cierpkość w ustach. Znał to, pojawiała się zawsze, kiedy zabił.

Tym razem było tego więcej.

Splunął i zacisnął usta. Nastawiał się na spotkanie z policją. Nie będzie tak łatwo, jak przed chwilą, ale nigdy nie okaże słabości, nigdy się nie podda jakimś frajerom, którzy są mocni tylko w grupie i wpieprzają się w nie swoje sprawy.

Wolność i życie mniej warte od honoru. Wrosło to w niego – przez kręgosłup, serce, mózg i na wylot.

– Whisky. – Powinna splukać posmak.

Wszedł do klubu i za bar, nalał sobie najlepszego trunku.

Zmurszłak leżał po drugiej stronie salonu, na jednej z kanap, obserwował go.

– Jak u ciebie?

Kowboj wrócił na werandę i się rozsiadł. Palił, popijał i czekał, ale nikt nie przyjechał.

– Hm – mruknął.

W domach dokoła mieszkali zwykli ludzie. Życie ich nie oszczędzało. Znali go i szanowali za uprzejmość i działania na rzecz ulicy. Dbał o bezdomne zwierzęta, których tu pełno. Załatwił odśnieżanie, naprawił chodniki i posadził wzdłuż nich kwiaty.

To nie była bogata dzielnica, a otoczenie burdelu było wizytówką.

Był pewien, że ktoś zadzwoni po psy. Wystarczyła przecież jedna osoba.

Jednak wciąż było cicho.

– Hm.

Poszedł do garażu, wyciągnął plandekę i przykrył Arafata, który udawał teraz zabezpieczoną kupę piachu.

Chwilę później podjechała taksówka. Taryfiarz, widząc pogaszone światła i neon, zostawił klienta w samochodzie i sam wysiadł sprawdzić, czy było otwarte. Zanim nacisnął dzwonek przy furtce, Wiechu odezwał się z ciemności.

– Dziś zamknięte.

Taksówkarz dojrzał tylko punkcik żaru papierosa. Uniósł ramię i wszedł do auta.

Niejeden zacząłby zadawać pytania, czemu było zamknięte. Taryfiarze bywają wścibscy.

Wiechu wyciągnął telefon i wybrał numer.

– Przyjedźcie posprzątać. Dwóch. Zasłońcie śmietnik samochodami – powiedział.

– A psiarnia?

– Może przejdzie bokiem.

Rozłączył się. Nie mógł uwierzyć, że nikt nie zadzwonił po policję. Żadna stara kobieta? Te najbardziej podziwiała jego ogród. Może dlatego?

Wyszedł na środek ulicy. Ludzie w ciemnych domach słyszeli jego kroki. Ci, którzy już odeszli od okien, wrócili do nich.

Zdjął kapelusz, przyłożył do piersi i rozejrzał się, obracając głowę najpierw w jedną stronę drogi, a potem w drugą.

Wrócił na werandę i otworzył drzwi do klubu.

– Zmurszlak – zawołał i gwizdnął krótko.

Stary kocur wyszedł po chwili z ciemnego wnętrza i minął kowboja.

– Co z tobą?

Zwierzak zaczął burczeć ostrzegawczo.

– Wystraszyłeś się?

Schylił się, żeby go pogłaskać, ale kocur fuknął głośno i uciekł.

– Co tobie?

Przyjechali ludzie kowboja. Stanęli tak, żeby możliwie jak najwięcej zasłonić. Przeparkowali zdobyczne fury. Nieszczęśnika z kibla i Arafata wsadzili do worków. Schowali ciała w garażu. Zapakują je do auta, kiedy ludzie pójda spać. Szybko, sprawnie i po cichu.

Wiechu został sam. Myślał o Zmurszlaku.

Wstał i cmoknął na psa sąsiadów.

– Murzyn – zawołał.

Pies, zamiast wyjść jak zawsze, chował się w głębi budy i trzął ze strachu.

Kowboj nabrał w płuca powietrza i zauważył, że nie było w nim zapachu maciejek.

– Ki diabeł?

Wyszedł na ulicę. Stukanie obcasów i pobrzękiwania ostróg przeszkadzały mu teraz.

Psy innych sąsiadów, widząc, że się zbliżał, uciekały do budy. Kocia banda zniknęła, pewnie pochowały się po pierwszym wystrzale.

Wszystko co żyło, chowało się przed nim, każdy zwierzak, którego codziennie dokarmił.

Pogłębiły się bruzdy na pochmurnym czole. Cierpki posmak wciąż dokuczał.

Wiechu wrócił na werandę i zapalił światło nad drzwiami. Spojrzał w dół na

ogród. W donicach wkoło werandy jeszcze chwilę temu pełnych kwiecica, leżały jakieś nędzne ciemne resztki. Ogród w promieniu kilku metrów od budynku był czarny i martwy.

Tam, dokąd sięgnęła chlustająca z Wiecha ciemność.

Pojawiło się poczucie straty, jakiego nie czuł w całym swoim życiu. Cierpkość w ustach zmieniła się w gorycz, a gardło, podniebienie i język szerniały.

Zgasił światło i usiadł. Zdjął kapelusz i oparł łokcie o kolana, jak zmęczony robotnik na budowie kolei w Teksasie.

Bruzdą po policzku spłynęła łza, kapnęła z brody na podłogę werandy.

Po chwili pod burdel podjechały trzy nieoznakowane policyjne samochody, a od strony lasu usłyszał wołanie:

– Wstań z rękami w górze!

Kowboj ocknął się i otworzył oczy. Gałki, podobnie jak jama ustna, były zupełnie czarne.

Chwycił strzelbę i wystrzelił w stronę lasu. Nie krył się, schodził po schodach i strzelał w kierunku policjantów schowanych za samochodami. Nie czuł kul, które wbijały się w jego ciało jak w smołę.

Padł na ulicy, dopiero – kiedy dostał w głowę. Jego twarz wykrzywił grymas wściekłości, a z czarnych ust padło ostatnie słowo:

– Frajery.

Lata później, kiedy starego Saloonu już nie było i mieszkała tu zwykła rodzina, mimo wielu starań wokół werandy uparcie nic nie chciało rosnać. A wypuszczony na dwór gruby kot Puszek, podobnie jak wszystkie inne zwierzaki tutaj, wciąż omijał szerokim łukiem miejsce, gdzie spadła łza Wiecha.